

MAREK BRAND

# BRUCE

Nagle zapada ciemność i czuję, że moja klatkę piersiową miażdży potężny ciężar, jakby betonowy blok urwał się z liny i spadł wprost na moje plecy. Nie lubię być tak zaskakiwany. Zwłaszcza, że w tej sytuacji wyglądam zapewne jak sprasowana sardynka. Trudno potem zachować równowagę psychiczną.

- Nic nie mów i nie podnoś głowy – słyszę głos nie znoszący sprzeciwu.

- Ale o co chodzi? – pytam – nie mam kasy i w ogóle nie wiem gdzie jestem.

- Nic ze mną takie numery – odpowiada tajemniczy napastnik.

- Jak słowo daję – piszczę – właśnie miałem wstać z łóżka...

- Mnie chcieli mnie przechytryć, mnie – głos jest wyraźnie poirytowany.

- Ja, przysięgam, że nie chciałem nikogo przechytryć – mówię prawie płacząc – a jednocześnie robię szybki rachunek sumienia.

- Trzeci raz próbują mnie nabrać, że niby będą zrywać asfalt, ale nie ze mną te gierki.

- Ja nie pracuję przy asfalcie...

- Dobrze, skup się – wyczuwam w głosie niepokój – na trzy podnosisz się i biegniesz w prawo. Jakies sześć metrów. Tam jest taka duża, ciemna brama. Nie zauważa.

- Ja tam do żadnej ciemnej bramy nie idę – mówię trochę zadziornie.

- Nie chrzań. Masz robić co każę. Inaczej Tagielli powiesi twoją głowę nad barem.

- Jaki Tagielli? To jakiś makaron?

- Makaron, makaron. Potem pogadamy. Uważaj, raz, dwa trzy.

Czuję, że napastnik zeskakuje z moich pleców. Podnoszę się i widzę przed sobą ogromną ulicę. Setki neonów, lampionów, samochodów, i kilka taksówek. O Boże żółte taksówki... Jakies pięćdziesiąt metrów (nie wiem czy dobrze potrafię oszacować odległość, bo jedno ze szkielec moich okularów jest pęknięte) ekipa drogowców zrywa asfalt... Jednak nie mam czasu nawet się zdziwić, bo jakaś potężna siła szarpie mnie za rękaw i ciągnie w kierunku ciemnej bramy. Kiedy znajduje się w ciemności, uścisk na moim ramieniu słabnie.

- Uff, udało się, te żalozne dupki zbyt serio udają znudzonych robotników. Nawet dwa buldożery wynajęli. Zapalimy?

- Właściwie, to rzucam, ale co tam, jednego mogę – mówię, żeby zyskać na czasie.

Ogień zapalniczki rozświetla ciemność. A ja drętwię ze zdziwienia.

- Co, nerwy puszczają? – mówi Bruce Willis we własnej osobie.

- Co?.. że jak... ale właściwie... nie wiem jak pozbierać rozrzucone myśli.

- Normalka, ale tym razem byli blisko... bardzo.

- Zaraz, o co chodzi?, gdzie ja jestem? I czy to naprawdę ty? I skąd znasz polski?

- No, musiałeś niezłe oberwać w głowę – mówi Bruce zaciągając się dymem – nic nie pamiętasz?

- Pamiętam, że się goliłem przed lustrem... A potem...

- Musieli cię zaskoczyć w domu. Pewnie przyłożyli ci w głowę czymś ciężkim, ale ich ktoś sploszył, albo się wyrwał.

- Kto? Kiedy?

- Powoli, powoli... Jesteśmy w Nowym Yorku, ja jestem glina, a ty świadkiem. Kiedyś byłeś w mafii, ale twój szef Tagielli, nawiasem mówiąc kurdupel przypominający bakłażana, każał ci wykończyć jakiegoś księgowego. A ty postanowiłeś go oszczędzić. Tylko, że w naszym wydziale mamy kreta, który cię wystawił. A ja jestem tym dobrym. Jutro zeznajesz, a ja mam cię chronić.

- Czeka, powoli – ja jestem skruszony mafioso, a ty twardej glina, który mnie chroni.

- No widzisz, witaj ponownie – wyraźnie cieszy go mój genialny wywód.

- Jaja sobie robisz?

- Jak to?

- Co to ma znaczyć...

- Powtórzyć jeszcze raz?

- Nie to ty posłuchaj.

Dokładnie opowiadam Willisowi jak jest naprawdę. Że jest aktorem, dobrze zarabia, może gwizdać na podwyżki i ma w dupie to czy Gazprom odednie dostawę gazu i ropy do Polski.

- Otóż sądzę, że zaciera ci się granica między fikcją a rzeczywistością. Wpadłeś stary w pułapkę odrealnionego świata – wyjaśniam zaciągając się papierosem.

- Szklana pułapka, coś mi to mówi – mówi Willis.

- Nie przerywaj mi – prawie piorunuję go wzrokiem – No więc jak już powiedziałem, wpadłeś w pułapkę odrealnionego świata, a właściwie w to co można nazwać syndromem aktora charakterystycznego.

- Jestem aktorem? – pyta Bruce, a z jego otwartych ust wylatuje papieros.

- Tak, aktorem, który zbyt dużo gra rolę dobrych, ale trochę ekscentrycznych gliniarzy, taki buntownik, który nagina trochę prawo, wiesz, działa niezależnie. Wszystkie te twoje role policjantów doprowadziły do tego, że już tylko to jest dla ciebie prawdą. W jakiś sposób wytworzyłeś czasoprzestrzeń, w której jesteś już tylko postacią ze swoich filmów, nie wiem jak się to stało, że ja się tu znalazłem, ale cóż, są rzeczy, które nie śniły się filozofom. No może Spinozie się śniły, ale wiadomo, że lubił wypić. W każdym razie obaj utknęliśmy w twojej nowej rzeczywistości. A właściwie fikcji. Ci goście tam, na ulicy to są prawdziwi robotnicy, ja jestem prawdziwy, ty jesteś prawdziwy, tylko realia są inne.

- Jesteś pewien, że to co mówisz nie jest efektem uderzenia w głowę? Twoją głowę – pyta zmieszany.

- Jestem.

- Czyli, że ja jestem aktorem, któremu się trochę... pomieszało?

- W sumie, tak...

- To co my teraz...?

- Właśnie myślę....

- Mam żonę?



- Ostatnio już się pogubiłem, ale chyba tak, chyba Moore, Demi Moore.

- Mieszkam w Beverly Hill?

- No wybacz, wszystkiego o tobie nie wiem. Nie czytam dokładnie brukowców.

- To, jak się nazywam?

- Bruce Willis.

- Głupie imię...

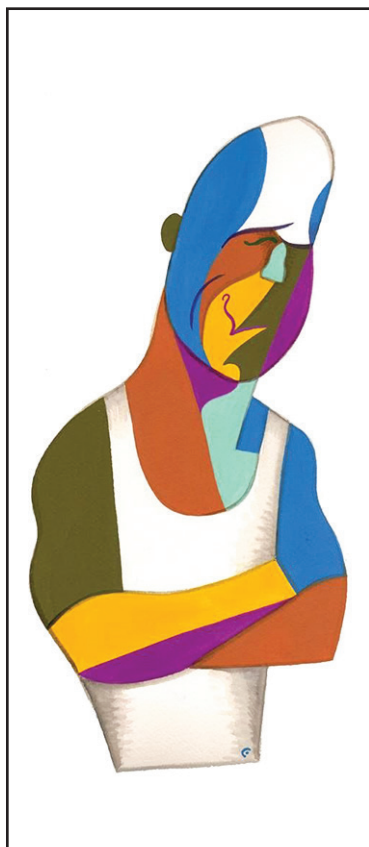
- Może, chociaż są gorsze.

- Co robimy?

- Myślę.

- Ja czułem, że coś jest nie tak – mówi Willis – normalnie czułem.

- Z punktu widzenia psychologii potrzebny nam jest jakiś punkt innego odniesienia. Musimy trochę wejść do twojej psychiki i pogrzebać w pamięci. Wykasowałeś sobie swoje prawdziwe życie.



- Ale dlaczego?

- Nie wiem. Może świat fikcji, w którym nie musisz się martwić o zakupy, rachunki, dietę i takie tam pierdoły jest łatwiejszy do zaakceptowania.

- Ale dlaczego, akurat twardej, superglina?

- Za często takich grasz.

- No to mam przesrane.

- Czeka, pamiętam taki film z Meryl Streep i Goldie Hawn, w którym nie grałeś twardej, tylko takiego fajnego,

sfrustrowanego faceta od operacji plastycznych.

- A te dwie to co za jedne?

- Aktorki.

- Nie znam.

- Znasz, nie pamiętasz. Nie przerywaj. Grałeś faceta, który robi lifting truposzom, a one ze sobą rywalizują o ciebie i od jakiegoś wiedźmy dostają jakiś napój nieśmiertelności. No ale wiesz, coś za coś. Umrzec nie mogą, Są ni-

by młode, ale jak sobie która rękę złamie czy jedna drugiej robi dziurę w plecach, to musisz im to załatać, bo się nie zrasta. Zatem potrzebują ciebie nie tylko jako kochanka, ale też jako mechanika.

- Czeka, czeka – uśmiecha się Bruce – coś jarzę. Czy tam jest taka scena, kiedy ta wiedźma, zresztą niezła laska, proponuje mi też, żebym się napił tego świństwa...

- Tak, ale ty nie chcesz.

- I ja uciekam, a potem trzymam się rynny, a wcześniej uciekam przed psami?

- Tak, ale rynna, nie wytrzymuje twojego ciężaru i spadasz do basenu.

- Ty, a ja myślałem, że to sen.

- Nie to, bardzo piękna scena. Wiesz, ludzie patrzą i mówią, ale leci w dół, normalnie jak kurs dolara na giełdzie. I kto tak leci? Bruce Willis, ten twardej, a twarz ma taką ludzką, przerażoną...

- Naprawdę tak mówią?

- Naprawdę.

- Cholera, muszę załatwić sobie rolę zwykłych ludzi.

- No, to chyba nie jest problem.

- Nie. A ty kim jesteś?

Przedstawiam się Willisowi, opowiadam o swoim kraju, o murze berlińskim, że nasza kinematografia też się liczy, że Wajda i w ogóle.

- Tylko wiz nam nie chcecie znieść – kończę z lekką skargą w głosie.

- Shit, shit – nagle krzyczy Willis.

- Ale nie denerwuj się tak – mówię łagodnie – kiedyś nam zniesiecie.

- Nie o to chodzi – syczy Willis – jak cię urząd emigracyjny nakryje, to będziesz miał zakaz wjazdu do Stanów. A ja będę miał na głowie inspektora, który sprawdzi całą moją meksykańską służbę. I to wszystko moja wina. Jedźmy na lotnisko.

I znowu wszystko dzieje się jak na filmie. Bruce pakuje mnie do taksów-

ki. Ale nie na tylne siedzenie tylko do bagażnika.

- Sorry man, ale tak będzie lepiej dla nas obu – mówi do mnie i z uśmiechem zamyka kłapę bagażnika. Na lotnisku, zakuwa mnie w kajdanki i prowadzi w kierunku odpraw lotniczych.

- Bruce Willis, FBI – przedstawia się w okienku – pokazuje jakąś legitymację.

Pracownica PANAMU jest wyraźnie zaskoczona, ale to profesjonalistka, więc podejmuje grę.

- Czym mogę służyć? – pyta.

- Najbliższy lot do Europy, kiedy?

- Ale jakie miasto?

- Jeżeli mogę wybierać, to do Poznania – mówię nieśmiało.

- Najbliższy lot jest do Berlina.

- Niech będzie Berlin – decyduje Willis – sam mówiłeś, że jesteście w Unii. Dasz sobie radę.

- To, co robimy? – pyta urzędniczka.

- Poproszę bilet do Berlina. Płacę kartą – ucina Bruce.

Nadmiar wrażeń sprawia, że dopiero nad oceanem zastanawiam się nad całą historią. W głowie mam mętlik i prawdę mówiąc jestem niezłe wkurzony. Na Willisa i na siebie. Na niego, za to, że kupił klasę turystyczną, a zważywszy na to, że jestem w samej tylko piżamie, nie mogę liczyć na drinki i przekąski. Za to, że nie dał mi autografu. Fakt, nie prosiłem, ale chyba można zapytać. Na siebie, za to, że tak szybko odnalazłem właściwą przyczynę stanu rzeczy. Wyleczyłem go i to za darmo. Przecież pierwszy lepszy psychoanalityk mógłby sobie kupić małe mieszkanie w fajnej dzielnicy. A ja, nie dość, że finansowo porażka, to jeszcze turystycznie nic nie wyszło. A najgorsze jest to, że miałem niesamowitą okazję, żeby odwiedzić brata. Chociaż co bym mu właściwie powiedział, kiedy o drugiej w nocy obudziłbym go, ubrany w samej piżamie, że właśnie zostałem zassany do fikcyjnego świata Bruca Willisa. I to właśnie w szabas. Brat mnie kocha i z tej miłości odwiózłby mnie do czubków. Cóż, pewne sprawy trzeba pozostawić ich własnemu biegowi. Tylko skąd ja do cholery znam się na psychologii.

A może to jest świat mojej fikcji...

A no i nie wiem jak się dostać z Berlina dalej na wschód.